

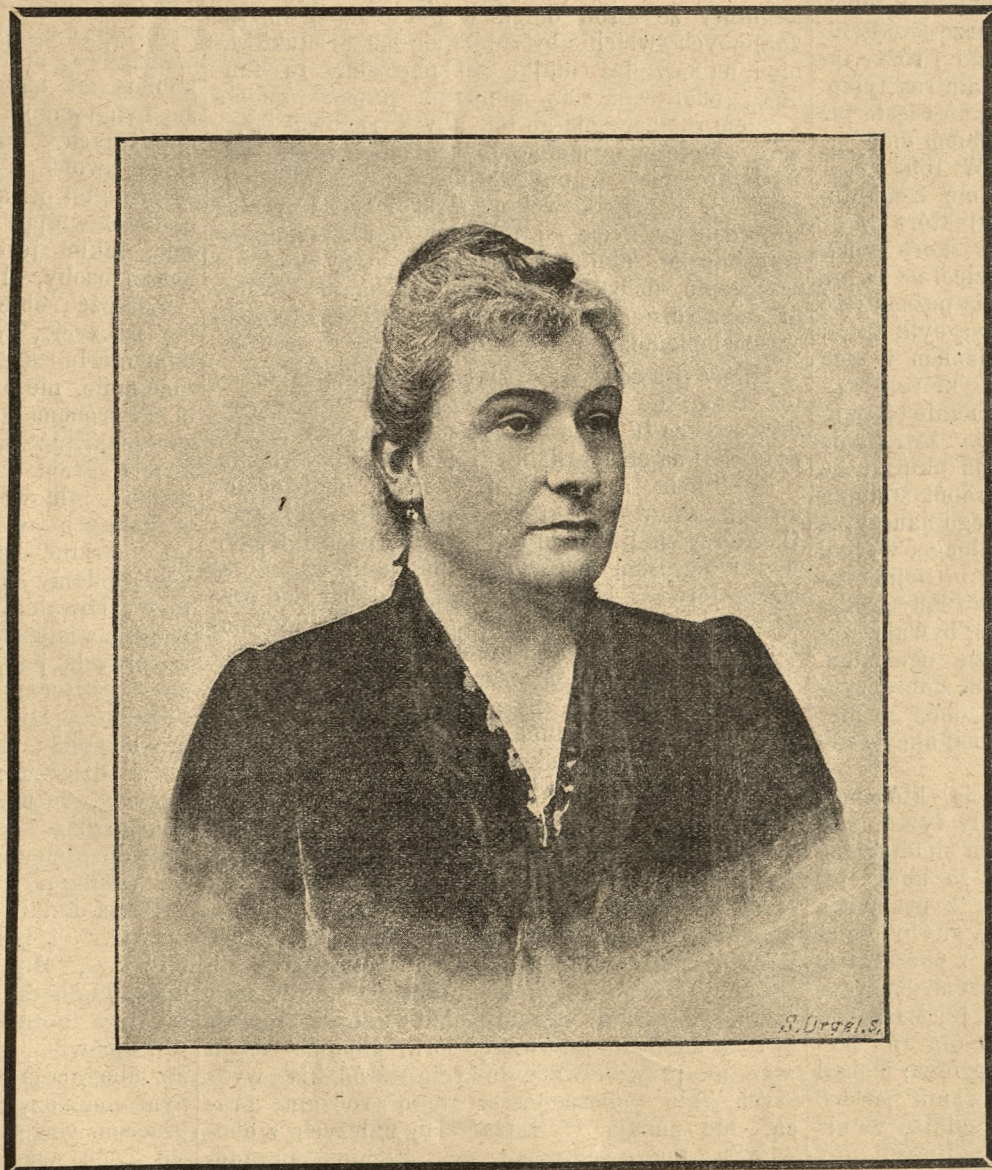


PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Ś. † P.

MARYA ROTWAND.

Kochać blizkie sercu swemu osoby i poświęcać się dla ich dobra, dla ich szczęścia, jest już zasługą przed Bogiem i ludźmi, ale rozszerzyć to uczucie do ogółu, umieć odczuć litośnie braki i potrzeby nieznanych nam i tylko przez uczucie miłości bliźniego związanych z nami ludzi, to cnota, jednająca tym, którzy ją spełniają szacunek społeczeństwa swego i taki to szacunek pozyskała sobie ś. p. Marya Rotwand, której oczy śmierć zamknęła, a zwłoki złożone zostały w grób d. 27 Sierpnia, odprowadzone na miejsce ostatniego odpoczynku przez kilkotysięczny orszak. Książę Tadeusz Lubomirski szedł na czele licznego grona członków Tow. Dobroczynności, a trumna nie tylko była pokryta wieńcami, ale wiózł je rydwan oddzielny, gdzie złożyły je nie tylko ręce rodziny i przyjaciół, ale przesłały instytucje i korporacje różne, z którymi szlachetna filantropka współpracowała jako dobra i szlachetnego, gorącego serca kobieta.



Ś. p. MARYA ROTWAND.

Zamożna, w rodzinnych swych stosunkach szczęśliwa, umiała przecież odczuć co jest niedola, a tkliwość dobrego jej serca nie ograniczała się do datków jałmużny grosza, bo szlachetnym jej przekonaniem było, że dać pracę ubogiemu, który jeszcze pracować może, jest dobroczynnością najwyższą, moralnie podnoszącą, uzacniającą biednego. Myśl jej zwracała się też tutaj do podstaw: do wychowania dzieci tych klas niezamożnych, którym matka pracująca często po za domem, nie zawsze dość potrzebnego tu czasu poświęcić może — nie zawsze umie dać kierunek dobry, naturze dziecka odpowiedni. W 1890 r. zaczęła pani założyć też na Lesznie ochronę dla 120 dzieci, utrzymaną jej kosztem, wynoszącym rocznie 1.200 rs., ale dawała tu ona więcej niżeli ten pieniądz: dawała zajęcie się serdeczne pedagogicznemu kierunkowi ochrony, w której przebywała codziennie godzin parę, — współpracując niepowierzchnie z jej zarządem. Wyrobienie uczuć moralnych, skierowanie myśli młodzieuchnej w stronę życia szlachetną, było tu zadaniem pierwszym, bo to w pojęciu jej stanowiło grunt życia duchowego każdej istoty ludzkiej, na wszelkim stopniu drabiny społecznej.

Nie czyniono tu różnic żadnych i tylko niedola cięższa dawała prawo wyższe do jej opieki, do zajęcia się serdecznego zwłaszcza sierotami, którym brakowało ciepła miłości macierzyńskiej. Chcąc znać warunki w jakich domowe wychowanie dzieci się odbywa, zacna pani dowiadywała się jakimi są zajęcia, położenie rodziców i działając według tego wspierała dziecko moralnie, wspierała zarazem rodziców nietylko datkiem grosza: wyszukiwała im pracę, a sieroty miały zawsze do jej serca prawo pierwsze i jedną z osób do ich, nie mającą ani ojca ani matki, wzięła do ochrony na wychowanie kosztem własnym, otaczając opieką szczególną. Czuwała osobiście nad rozwojem uczuć, myśli dziecka, udzielała do zoreczyni wskazówek jak dawać poparcie dobrym a ztłumiać złe skłonności; dziewczynka rozwijając się też szczęśliwie rośnie zdrowo, przecież nie odbiera już wyższego wykształcenia, bo opiekunka dostrzegła pewne zarody tej wyniosłości: pychy którąby mogła stać się z czasem pogardliwym odświeżeniem się od rodziny; więc niedoborem moralnym, brakiem obowiązkowego uczucia.

A zacna pani uważała obowiązek za moralną podstawę człowieka i uczuciem tem przeniknięta spełniała z wielką skrupulatnością wszelkie prace, wszelkie zadania raz przyjęte, stawiając sobie przed oczyma konsekwencje z zaniedbania wynikające. Wyjeżdżając zagranicę zwiedzała ochrony w Czechach, w Niemczech, we Francji, we Włoszech, studyując metody, obserwując skutki wychowawcze, jakie przynosiły i porównywała je z tem co czyni się u nas spisywała sobie wszystko, aby powróciwszy do kraju wyciągnąć wnioski, według których można by było czynić zastosowania. Są w życiu ludzkim zadania, którym nie można dać tylko pół serca i ona zali czając do nich wychowanie oddawała tu całe serce swoje.

W 1891 r. założyła w Młocinach szkołę, w której córki jej nauczały dziewczęta robót. Zachęcając dzieci, aby regularnie uczęszczały do szkoły, rozdawała im książki, obrazki i różne inne upominki, ale szkoła ta istniała rok tylko, przecież nie bez pewnego wpływu, bo często już w piersi dziecka drgnie za poruszeniem umiejętnym pewna struna serca, umysłu. W 1892 r. założyła przy 29-tej ochronie szwalnię 8-mą dla czterdziestu dziewcząt. Dziewczynki które w ochronach uczyć się już nie mogą, skoro wiek przepisany dla uczęszczających tu dzieci na to nie pozwoli, przechodzą do szwalni, gdzie pozostawać mogą do lat piętnastu, a jak troskliwą była tu jej opieka—jak pracowała nad podniesieniem w nich ideału niewieściego istnienia—uczuc, któreby zabezpieczyły przyszłość przez szlachetnie pojęte zadanie i cele istnienia ludzkiego. Zwracanie uwagi na porządek i pracowitość, na akuratność w wykonywaniu wyznaczonych im robót stało tu na planie pierwszym, bo kto się tego nauczy za młodu, nawyknę i do ładu moralnego, wyrobi w sobie jego zamiłowanie i ona to pojmowała. Na lekcjach czytania, pisania i innych niezbędnych wiadomości elementarnych, bywała często w szwalni i urzędowała doroczne egzamina. A jak przejęła się duszą całą tem dobroczynnym dziełem swoim dosyć powiedzieć, że niedługo już przed śmiercią skreśliła instrukcją dla szwalni.

Serce jej miało tę tkliwość uczucia, która się wytwarza w piersiach ludzkich wtedy tylko, gdy się podnosimy nad ukochanie samych siebie i ona taką była. Dowiedziawszy się raz, że uboga jedyna dziewczynka, hafciarka, żyjąca z pracy rąk własnych, zarabiać by mogła więcej, gdyby umiała rysować, postanowiła posyłać ją z początkiem roku do sali rysunkowej, a tymczasem dziewczę to uczyło się rysować razem z jej własnymi dziećmi. W 1892 r. dawała obiady dla 150 biednych, a była to nietylko jałmużna grosza; niemal codziennie była obecna przy rozdawaniu porcy, a praca ta miłosierna tak ją pochłaniała, że nie miała czasu, nie miała dość swobodnej myśli, aby pamiętać o sobie. Gdy raz będąc słabą, kaszląc mocno, przeszła zaraz od tego utrudniającego zajęcia do ochrony i to w dzień słotny, a ktoś z życzliwych zwrócił jej uwagę, że nie dość uważa na zdrowie swoje, odparła, iż nie jest zdolną czy-

nić cośkolwiek powierzchownie, połową duszy. We wilią dnia tego wydano w Taniej kuchni, którą zarządzała potrawę jakąś niedogotowaną i to ją silnie dotknęło, zwłaszcza, że porcy były małe, więc wzięła to sobie za obowiązek, aby osobisty jej nadzór usuwał nadużycia, nie pozwalając na niedbałość.

Obok zajęcia się nędzą materialną, pragnęła ratować ludzi i od nędzy moralnej. Jej to funduszem została założona na Lesznie, N-r 24, czytelnia dla ludu, istniejąca dotąd, a każdy zakład taki to uczynek dobroczynny—promyś światła dla potrzebujących go umysłów, a zarazem dobre zajęcie czasu w dzień świąteczny. Dobre jej serce mogło się też czuć zadowolonym, bo czytelnicy żądali przeważnie, jak to jest i po dziś dzień, książek z kierunkiem podnoszącym ducha, rozświecającym, uszlachetniającym umysły, a ona jak dobra robotnica w winnicy Pańskiej zwróciła się tu myślą w jedną jeszcze stronę dobroczynnego podania ręki potrzebującym tej pomocy. Szwaczki, jeżeli nie mają rodziny, jakżeż używają odpoczynku niedzielnego? Temu, kto pracuje tydzień cały, należy się w dzień świąteczny jakieś miłe przepędzenie kilku godzin czasu, jakaś zabawa, oderwanie się myślą od powszednich trosk, powszednich trudów życia i w tym to celu szlachetna pani zapragnęła przynęcić te młode a po większej części samotne kobiety do czytelnicy niedzielnej na wspólne czytanie, ale rzecz się nie powiodła.

W czytelnicy tej znajdowała się między innymi czasopismami i Gazeta Rzemieślnicza, poleciła też jednej z osób zarządzających tu, aby gazeta ta dostawała się w ręce rzemieślników, a do szpitala ewangelickiego przesyłała codziennie Gazetę Polską i Gazetę Świąteczną. Uwaga jej umiała się zwracać na te rozmaite strony życia i pracy, gdzie tylko było tu do zrobienia coś dobrego dla ludzi i społeczeństwa. Widząc, że sprowadzają do nas konfitury ze stron dalekich poradziła jednej ze znajomych swoich, aby zajęła się ich produkowaniem na sprzedaż i dając jej potrzebny tu fundusz, ofiarowała się popierać przedsięwzięcie z celem rozszerzenia go tak, aby wyrugował przywóz. Majętna rozumiała przecież doniosłość tych wydatków niby drobnych, które często nie liczą się za nie, a jednak tworzą razem summy i uważne wejście w życie, pragnienie dobra ogólnego wyrobiło w niej ten przymiot, który pragnęła zaszczerpić dzieciom swoim, kochanym silnie przecież rozumnie, to jest tak, że miłość nie stała się zaślepieniem.

Miłość prawdziwa w sercu szlachetnym nigdy też taką nie bywa, a przeciwnie ostrożna na wszystko co tu może być szkoda, brakiem moralnym, stoi na straży dobra i prawdy, obowiązków, i ona była matką taką: kochała w dzieciach swoich „człowieka, którego otrzymała od Boga“. Ci, którzy znali ją bliżej, którzy wiedzieli jaką jest u ogniska domowego, podnoszą wysoko tę stronę jej cnót, które tworzą grunt dobry pod pracę wszelkiego społeczeństwa. Zamożna, nie stała się nigdy rozrzutną i nie dopuściła, aby istoty młode pragnęły przedewszystkiem używać, uważając to słusznie za złe przygotowanie do życia, przemawiała szlachetnie do ich serc i umysłów, wykazując, iż majątek posiadany nie jest bynajmniej ich wyłączną własnością.

Przy tak szlachetnym pojmowaniu życia nie mogła już mieć tego pragnienia rozrywek, zabawy, które jest plagą rodzin, a powstaje z pustki serca i umysłu. Umiała zapełnić sobie czas, umiała znaleźć sobie pokarm dla ducha, i patrząc w głąb społeczeństwa, zdolną była dopatrzeć się rozumnie czego tu brak, do czego należy rękę przyłożyć. Stan moralny dziewcząt służących zwrócił na siebie jej uwagę: córki ubogich rodzin ludu, nie przygotowane do życia wśród klas wyższych, nie obeznane z tego rodzaju pracą, nie umieją wywiązać się należycie z obowiązku tego ściągając na siebie niezadowolone, niezadowolonymi też się czują i życie ich nieprawidłowo się toczące, naraża na upadki moralne, od czego ona szlachetna chcąc je uchronić, zapragnęła dać im pomoc najlepszą, jaka może być daną człowiekowi: należy-

te uzdolnienie do tego, co się ma stać obowiązkiem jego pracy.

Pragnąc, aby rzecz mogła przyjść do skutku obmyślona dobrze i praktycznie, zaprosiła grono pań na wspólną naradę, która przecież nie przyniosła jej pomocy potrzebnej a przeciwnie mogła dać zniechęcenie tylko, które ona umiała przecież odeprzeć od siebie, nie zrzekając się zamiaru swego. — Szkoła kucharek musi powstać w jesieni... mówiła sobie, tak jak ona patrzącej na życie, lecz zanim jesień przyszła zwarzyć szronem swoim zieleni i kwiaty lata, przerwała się nic szlachetnego jej istnienia. Na kilka dni przed śmiercią zwiedzała zakład dla gospodyń, znajdujący się pod miastem Bonu, odeszła, zatem ze świata jak ta dobra robotnica ewangeliczna, która nigdy nie założyła rąk leniwie.

M. I.

Praca kobiety.

(Dokończenie).

Szlachetna istota ludzka ma naturalne pragnienie poświęcenia się dla ludzi, dla idei i dać jej pragnienia tego zadowolenie dobre, jest to ubogacić jej życie przez wskazany życiu temu cel podniosły, trzeba przecież na to, aby zrozumiał, że wszystko, co jest pracą użyteczną, już w tym kierunku dąży; nie wzgardziła tem, co na dział jej obowiązków, choćby najskromniejszych, przypada, bo ze szczegółów tworzą się całości wszelkie. Kobieta dla której praca w rodzinie jest zadaniem najwyższym, powinna szczególnie to pojmować i wiążąc przyczyny ze skutkami, brać miarę wartości pracy swojej nie z jej szczegółów, ale z całości, jakie wytwarza. Gdy kobieta tak na życie patrzeć będzie, nie uczuje się bynajmniej poniżoną, przykładając rękę do najniższych nawet szczegółów obowiązkowych zajęć swoich i nie zatraci w poglądach swych na życie tej perspektywy, która całością przedmiotu stawiając nam przed oczy, ukazuje go takim, jakim jest w stosunku nietylko do własnej naszej osoby, ale i wśród przestrzeni szerszych.

Znaleźć sobie podniosły punkt zapatrywania się na życie, jest może rzeczą najważniejszą dla istnienia ludzkiego. Kto prawdziwe wartości oceniać umie, nie będzie się ubiegał za tem, co świeci jak próchno wśród ciemności i kobieta, której zarzucają, iż jest powierzchowną, że często poświęca grunt rzeczy efektowi, powinna tem usilniej pilnować, aby nie uległa słabości, która w skutkach swoich sprowadza tak materialne, jak moralne bankructwo rodzin, społeczeństw. Gdy dodamy do tego, że praca kobiety obejmuje wychowanie, ważność rzeczy wzrasta i wysuwa się na miejsce pierwsze zagadnień społecznych, bo prawdą jest zdanie, że matka nie dla siebie chowa dziecko. To obywatel jest, który żyć i działać będzie w tej przyszłości, dla której my przestaniemy już istnieć, ale tylko materialnie, bo w dziecku żyją rodzice: ojciec, matka—ich wpływy, uczucie ich siła, z ich poglądów i chęci wytworzone sprawy. Syrokonia wyraził też prawdę głęboką, wołając: „Przeszłości! tyś nasza mistrzyni!“

Poeta dodał: „Nie dla zgorznienia, ale dla poprawy...“ i to też jest celem wychowania najwyższym, aby każde pokolenie, które przychodzi, umiało coś przyłożyć do skarbów przeszłości, lecz potrzeba na to, aby ta przeszłość, to jest ojcowie, matki, zostawili im jakąś spuściznę, ubogającą, którą oni dorobkiem własnym pomnożyli dla następnych swoich, a w tym procesie ważną rolę gra kobieta, matka, u której łona wychowuje się dziecko, a nie jest to bynajmniej zdaniem optymistycznym, iż łono to, do którego dziecinę swą tuli, nie jest bynajmniej wystygłym i trzeba tylko, aby zaliczając wychowanie do najwyższych zadań swoich, ważność jego rozumiała i zarazem zastana-

wiała się nad środkami, które działać tu powinny.

Przedewszystkiem należy jej mieć w pamięci ten szczegół, iż dziecko rośnie do życia w towarzystwie ludzkim, do ważnych też obowiązków wychowania zaliczyć trzeba urabianie młodego serca do uczuć miłości, a jest to jednym z zadań, które, szczególnie na dział pracy matki, na dział pracy kobiecej przypada, aby ciepłem uczuć swoich ogrzewała serca ludzkie. Kobieta pesymistka, kobieta, która zwątpiła o doskonaleniu się ludzkości, przeczy wszystkiemu, co stanowi cechę kobiecości—kobiecości tkliwej i dobrej, bo czyż taka może jeszcze kochać, może wierzyć? Trzy teologiczne cnoty: wiara, miłość, nadzieja, które ona powinna wśród ludzkości rozszerzać, już dla niej wtedy istnieć przestają i najważniejsza jej działalność w społeczeństwie, w rodzinie, już się usuwa na stronę.

Do bardzo ważnych zadań i obowiązków kobiecie zalicza się gospodarstwo domowe, stawiać je też trzeba w zakresie pracy kobiecej tuż obok wychowania, bo nie myśląc się powiedzieć można, że jest to jedna z podwalin dobrobytu ogólnego ta zawodowa praca kobiety w rodzinie, do której należy też matkom przyznaczać córki ze względu na przyszłość, gdy staną u ogniska własnego domu, jako podskarbinie mienia rodziny. Rozumny myśliciel, Juliusz Harkel, podniósł kilka lat temu w westyżu w czasopiśmie „Szkoła“, przedstawiając jej znaczenie nie tylko materialne, ale i moralne, jak też jest niewątpliwie, a żąda on, aby już młode panny przyzwyczajały się wcześniej do tej pracy, obowiązującej każdą kobietę w rodzinie. Tylko ten, kto nie umie wejrzeć głębiej w życie, uważać ją może za niską, nie może być przecież niskiem nic, co jest użytecznym dla społeczeństwa i trzeba tylko, aby poglądy nasze z wyższego stanowiska zadań pracy ludzkiej, zapatrywały się na nią.

Kobieta, która nie leniwie pracować chce i umie w tych dwóch działach obowiązkowych zadań kobiety: w wychowaniu dziecka i gospodarstwie domowym, wywiązuje się już dobrze z tego, co jest bardzo ważną częścią jej powinności względem społeczeństwa i nie trzeba też jej żadnej emancypacji innej, prócz podniesienia się duchem nad małości, jakie się rodzą ogólnie w człowieku, nie umiejącym patrzeć na życie z jego stron podnioslejszych—nad miłość własną, która wszystko do samego siebie odnosi i sądzi o nich ze stanowiska samolubnych pożądań swoich.

M. I.

POGA WĘDKA.

Stuk — stuk — stuk...

— Kto tam?

— Z drukarni po rękopis.

Zerwałem się na równe nogi i wpół chwiejając się, senny, drapijąc się w kódrę, jak hrabia w płaszcz swój na ruinach starego Horeszków zamczyska, zbliżyłem się do drzwi, za którymi stał mój Gierwazy, upominający się natargowicie o rękopis.

— Mój kochanku—odzywam się—tylko co wróciłem z podróży i nie miałem jeszcze czasu nie tylko o żadnym rękopisie pomyśleć ale nawet przespać się uczciwie.

— To ja za godzinę przyjdę.

— Nic z tego nie będzie, kochanku.

— Za dwie.

— Miej litość nad nieszczęśliwym wędrowcem.

— A kiedy pan każe?

— Jutro—pojutrze...

— Ojej! Numer już prawie gotów, czekają tylko na pańskie dwa znaki zapytania.

Rad nie rad musiałem się zgodzić na termin naznaczony mi przez nieumiejącego wchodzić w kompromis żaden Gierwazego i odkładając na bok myśl wszelką o słodkiej drzemce, zasiadłem przy biur-

ku, by wypełnić sumiennie przyjęty na siebie obowiązek kronikarza.

Ech—nie! Zatrudna to dla mnie rola w tej chwili.

Zkąd tu trudność, spytacie?

Od trzech tygodni z górą nie byłem na ulicach Warszawy, nie wiem, co się przez ten czas działo w syrenim grodzie, żadna miejska ni zamiejska ploteczka do ucha mojego nie wpadła, a cóż już mówić o jakimś wypadku donieślejszego znaczenia, o poważnym może projekcie, który się na bruku warszawskim urodził.

Trudno!

Zanim rozpieszczę niei wypadków codziennych znów ujmę do swej dłoni, muszę z kronikarza stać się gawędziarzem tylko i to, niestety! niezbyt zajmującym gawędziarzem.

Co?

Ach! wy zaprzeczacie temu lekkim poruszeniem głowy.

Znam grzeszność waszą, łaskawi czytelnicy, i rad jestem z domyślności waszej, która mi nie zwalnia od tłumaczenia się. Wiem, że po odbytej bardzo dalekiej i bardzo ciekawej podróży, mógłbym was zająć niejedną opowieścią, mimo to jednak, jesteście wyrozumiali, milczenie moje nie tłumaczycie niechęcią gawędzenia z wami ale czem innym, choćby... choćby... znudzeniem.

Tak—jestem znudzony i nie ma w tem żadnej przesady, choć, opuszczając mury ukochanej Warszawy, wyjeżdżając z myślą odpoczynku, powiem otwarciej nawet: z myślą zupełnego próżnowania.

Udało się mi to i nie udało zarazem.

Udało (jak najsumienniej przyznam się wam do wszystkiego) niezepsułem jednej ewartki papieru, nie zmarnowałem jednej kropli atramentu, nieugodziłem ostrzem noża w pierś jednej książki, ale za to, zamiast spoczywać na łąk zieleni, wdychając spragnioną pierś świeże, wonne powietrze górskie, jako pierwotnie było moim zamiarem: chciałem skorzystać z czasu i jaknajwięcej zobaczyć świata i ludzi, których się nie znało i z którymi może już nigdy los mi spotkać się nie pozwoli.

I tak, w ciągu tej trzytygodniowej wycieczki nie miałem jednej chwili w której bym się mógł oddać słodkiemu *dolce far niente*. Z wagonu do wagonu, z wózka na wózek, z konia na konia. Systematycznie słońcu ani razu nie udało się wstać wcześniej odemnie, ani razu zegar wybijający północ, nie dzwonił nad sennym. Gniewny nawet byłem na tę parę godzin snu, jakiemu się oddać musiałem, czyniąc zadość niemłosiernym prawom natury, tak mi żal było, każdej chwili straconej. Był więc odpoczynek, bo myśl zmęczona pisarską pracą folgowała sobie w całym znaczeniu tego wyrazu, ale fizycznie uczuwałem się nieraz znudzony. Prawda, że ten ruch nadmierny i niedostatek snu sownie był wynagrodzony coraz nowemi wrażeniami jakie mi dostarczała nieustanna zmiana miejsc, nowi ludzie i wciąż nowe obrazy przyrody.

Z dużego odłamu zwiedzonego przeze mnie kraju, najwięcej czasu poświęciłem Beskidom. Nęciły mnie i Tatry, ale, że już dawniej zwiedzałem je parokrotnie, wolałem tym razem do nieznanych mi prawie okolic się udać. Z wierzchołka Raczej pokloniłem się tylko wspaniałemu Grzebieniowi Polskiemu, i górcom węgierskim, nad którymi panowały Fatra i Matra, dwa szczyty niebotyczne, wedle podania, prarodzice Karpat całych. Biały obłok spoczywał na ich potężnych, skalistych ramionach i wiał ku mnie, jak chusta białą, w znak powitania może. Poszczerbiona linia gór rysowała się przepysnie na tle rozjaśnionych błękitów i, zniżając się ku prawej stronie, łagodniała, przybrała kształty zaokrąglone więcej, aż rozplynęła się w mgłę srebrzystej, która jak morze ciche, nieruchome rozlało się w niezmierniej przestrzeni. W tych falach przezroczyстых ze srebra i kryształu, dostrzegałem kontury wysp olbrzymich, ku nim to właśnie wzrok się mój obracał, były to góry szląskie.

Zwiedzanie, mało mi znanego dotąd Szląska, rozpocząłem od źródeł Wisły. Zkąd ona wypływa, tego, zdaje mi się, nikt dotąd nie doszedł. Początkiem jej są jakieś moczary, strumyki, które zewsząd wąskimi, leniwymi strugami płyną

i dają początek tak Czarnej, jak Białej Wiśle. Być może, że niegdyś, gdzieś, widziałem piękniejszą dolinę nad tę, którą Czarna przepływa Wisła; być może, że już dawne wrażenia zatężyły się w pamięci, ale piękność dopiero co ujranej pograżyła mnie w niewystawioną rokosz. Tej doliny nie mógłbym inaczej nazwać, jak Marzeniem. Przyczynił się do tego i dzień piękny i niezamącona niczem cisza w powietrzu, która pozwalała świeżym z obu stron wartkiego strumienia, srebrną wstęgą skaczącą przez głązy o barwie czarnej, stać nieruchomie. Po spadzistej pochyłości dwóch wzgórz świerki piętrzyły się jeden nad drugim, niby kobierzec olbrzymi przytwierdzony do błękitu; w jednym miejscu tylko rozdarł się na dwie połowy, dla tego chyba, by pokazać wspaniałe wzniesienie, zieloną murawą pokryte, na którym stoi dom myśliwski, właściciela tej cudnej ziemi, arcyksięcia Alberta, zwany Jagdschlüssel.

Godzinami całymi można tu marzyć w zupełnym oderwaniu od reszty świata. Jeśli byś usnął, zdawałoby ci się, że sny miałbyś piękniejsze; jeżeli czuwasz, to troski codziennego życia nie mają tu przystępu do ciebie, zostały wszystkie hen, hen za temi górami i lasami, wstrzymały się u progu tej doliny i tam czekają może twojego powrotu, ale tu w spokoju zostawiają ciebie.

Tak—to nie żadna poezja. Sam na sobie doświadczyłem tego czaru. Długi łańcuch smutków i niewypowiedzianych nigdy i nikomu cierpień, wlokący się od dawna za mną, płaczący mi nogi, ręce i usta, pękł nagle przed wrotami tej doliny; zapomniałem o tem, co było—nie myślałem o tem, co będzie, oddałem się cały jej tajemniczej piękności, jakimś marzeniem lepszym, promienniejszym myślom. W zmęczonej piersi uderzyło serce siłą powracającej młodości, świat dawnych pragnień i wiar zakolysał się nademną i ogarnął mnie swojemi ramionami. Krótką, krótką chwilę spędziłem na tej dolinie uroczej, ale nie zapomnę nigdy doznanych tu wrażeń; z głębokim żalem, oderwałem się od niej, bo głównym zadaniem tej na tak krótko przedsięwziętej wycieczki, było poznanie ludzi w górskich mieszkających chatkach.

W miejscu, gdzie czarna i biała Wisła przeciągnęły do siebie ramiona by odtań w nierozdzielnym połączone uścisku płynąć do Bałtyku, spotkałem dwóch jeźdźców na dzielnych koniach powoli zjeżdżających z góry. Przewodnik mój zbliżył się do mnie i szepnął, że to pan poseł Michejda z synem z górskiej wycieczki wraca do odalonego o mil pięć Cieszyna.

Nie trudno się domyślić, że takiej persony, nie puszcza się luzem. Zaszedłem tedy drogę panu posłowi.

— Czolem...

— Czolem...

Z nazwiska, jak się okazało, nie byłem i ja mu obcy.

Zawiazała się gawędka serdeczna, tem miłsza, że niespodzianie całkiem, tem powabniejsza, że w otoczeniu gór i lasów, tuż nad skalistym brzegiem Wisły. Przy pożegnaniu uściskaliśmy się mocno i czuliśmy się tego uścisku; zostałem też zaproszony przez pana Michejdę do Cieszyna. Nie mogłem jednak na razie korzystać z tej grzeszności, mając inny cel przed oczyma.

Lubię bardzo lud góralski i znam go dobrze, ale kmięć szląski góruje nad każdym innym. Myśl jego nie zasklepia się w granicach tylko swojej zagrody, umie ulecieć znacznie dalej i prawnie niespodziankę sprawić. Dni dziesięć przepędzonych wraz z nimi, bo w swojej górskiej wycieczce raz w raz się z nimi spotykać musiałem, przekonały mnie o tem. Nieraz w przydrożnej karczynie rozrzuconej wsi szląskiej o godzinie północnej spotykałem po kilkudziesięciu kmięci, a żaden okrzyk pijany nie podrażnił mi słuchu. Przeciwnie, ten i ten miał swoją gazetkę w ręku, nie czarkę wódki lecz kufel piwa przed sobą. Z nieklamana przyjaźnią witali podróżnika ze stron dalekich, radzi byli się dowiedzieć zkąd jedzie, jakie z sobą przywozi wieści. Lud rosły, silny, niezapominający o pniu z którego wyrósł.

Ech! gdyby nie ten mój Gierwazy z drukarni stojący mi nad karkiem, gdyby nie to znudzenie po długiej a gwałtownie odbytej podróży—nie przed-

ko bym się rozstał z ulubionym przedmiotem i bardzo wiele przyjemnych powiedziałbym wam rzeczy, ale czuję, że mi się nie w ład coś myśli płacząc, że zamiast przecinków i średników coraz częściej kropki stawiać muszę.

Warszawa!

Czy żałuję, że do niej powróciłem?

O, nie!

To pierwsza dzisiaj miłość moja — czyż nie słuszuje?

Jak ptaki na zimowe leże powracają ze wszech stron do niej chwilowi zbiedzy. O! granicy pociąg był przepelniony tem ptactwem, a choć jedni czas spędzali w odurzającym wirze Paryża, inni nurzali się w falach Adryatyku, zachwyceni niestarzącami się nigdy wdziękami Wenecyi, a ten i ów przysięgał, że żyć tylko i umierać pod słońcem Włoch chciałby. Jednak, jednak — gdy długi, przeciągły gwizd lokomotywy przeszył powietrze a pociąg mijając zwrotnie zwalniał biegu, zbliżając się do dworca przy Marszałkowskiej ulicy, zapomniano nagle o mórz królowej, o szalonem wrzeniu Paryża, ci nawet, co pod niebem Italii umierać chcieli, zakończyli swoje marzenia znamienym okrzykiem:

„Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej!”

— Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej — i ja powtórzyłem wraz z nimi. Najlepiej, choć wiem, że tu mnie czeka trud i praca, czekają kłopoty i troski, niedobre dzisiaj, niepewne jutro. Ale w tych trudach i pracach hartuje się duch ludzki, ale im jest twardsze żelazo, tem silniej młot kowala uderza a uderzenie każde rozszerza mu pierś i wzmacnia mięśnie jego ramion. To nie, że pot uperli mu czoło, ten znój otrze dłoń ukochanej kobiety; to nie, że pracą znużony na twardą ławę senną pochylił głowę — popłynie szept dzieci:

— Ojciec znużył się, wyręczmy go!

Czy taki szept nie wynagradza trudów? czy nie miłym będzie sen kowala, gdy słyszy, że kuja kowalęta?

W domu najlepiej.

Z powodu natarczywości Gierwazego, o którym na początku dzisiejszej pogadanki mojej wspomniałem — nie miałem czasu rozpatrzeć się w sprawach bieżących Warszawy i nie wiem nie, co się w niej działo w ciągu ostatnich trzech tygodni.

Żle mnie jednak powitała Warszawa. Niebo zakryło się chmurami, temi brzydkimi chmurami, które nie prędko zechcą opuścić firmament niebieski; drobny deszczyk, kapuśniaczkiem zwany, nie dodaje wcale humoru, tu i tam żółknięjące listki drzew coś o jesieni szepta.

Ba — jesień!

Toć to u nas najpiękniejsza chwila w roku, druga wiosna pełna właściwego sobie czaru. Długimi wiekami wyrobiła sobie pani Jesień to dobre mniemanie o sobie i ludzimy się nadzieją, że gdy nadejdzie czas jej panowania, potrząśnie złotem nad nami, rozjaśnionym spojrzy błękitem, otuli serdecznym ciepłem zanim biała nadejdzie zima, ta malarka kryształowych kwiatów na szybach naszych okien.

Hej! dobre to były czasy, gdy chodziły dziady z lirami a stare baby przy kołowrotku baśni snuły. Plotła się bajka długa, dziwna; mniejsza czy w nią wierzono czy niewierzono, ale czas upływał szybko pod zaklęciem tajemniczego uroku. Z tej baśni jednak wysnuła się jakaś nie złota, jakies słowo prawdy uderzyło o uszy słuchaczy, jakies ziarnko poczciwe zakielkowało w prostaczem sercu i dobry plon wydało. Dziśby nikogo nie zabawiły te bajdy, nie skróciłyby długiego wieczoru — liry umilkły, a miejsce ich zajęły stoliki zielone.

Panowanie ich jest powszechne, wszechwładne.

W krótkiej podróży swojej do niejednego zajrzałem mieszkania letników. Zasłużony czy nie zasłużony mając odpooczynek, na bok odłożyli wszelkie zajęcia, z książką stanowczo rozbrat wzięli, nie zapomnieli tylko o kartach. Na wierzchołkach otoczonej dzikim powojem, czy pod żywicznymi konarami sosny; na pięknej dolinie przerzuniętej srebrzystym potokiem czy na wierzchołku wyniosłego wzgórza — wszędzie dojrzyysz, nietylko grono ludzi poważnych, ale młodzież płci obojej grających, jak u nas — w winta, jak w Galicyi — w taroka. Nowa to jakaś gra wę-

gierska, której karty mają zupełnie odrębny rysunek. Z zapamiętaniem oddają się jej młodzi i starzy i niejednokrotnie nagabywany byłem, bym poznał tę grę cudowną, od której, raz ją poznawszy, nie będę oderwać się w stanie.

Dość było tych słów ostatnich, bym na propozycję nie przystał. Nie znoszę żadnego nałogu, żadnej namiętności, którąby miała moc zapanowania nademną. Rozumiem walkę, poddania się — nigdy! A tu malowanych kart kilkadziesiąt, mają nademną rozciągnąć panowanie swoje? Panują jednak i okrutne zabory czynią. Gdy nawet piękna przyroda na której łono udano się po naprawę krzywd wyrządzonych przez życie w wielkich miastach, gdy nawet ta piękna przyroda z rąk nałogowiczów kart wytrącić nie może — cóż dopiero myśleć o długich zimowych wieczorach, gdy ulice zasypane śniegiem, zimny wicher krew mrozi, a słońce tak wczesnie, tak wczesnie opuszcza ziemię? — Hej, przyjdźcie stare dziady z lirami, hej, babko stara zakręć kołowrotkiem i snuj — baśń długą, jak nie twojego wrzeciona. W zmienionej może postaci, z bajką może inną na ustach, ale przyjdzie do domów naszych, bo długa, biała, zima się zbliża.

??

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

Usłyszawszy to słodkie słowo: „kocham“, Stanisław rozmarzony, upojony jej widokiem, głosem i pieszczotą wyszeptał: — pójdz do mnie!

W twarzy pięknej kobiety odbił się wyraz niechęci, obrzydzenia. Ręce, które się wyciągały ku niej, raziły wzrok żółtem zabarwieniem skóry i nadmierną szepczością; podkrążone sinemi obwódkami oczy sprzeczały się z gorączkowym ogniem, jaki się w nich nagle zapalił. Ten mizerny, złamany życiem i chorobą Stanisław nie przypominał jej w niczem owego świetnego, urodziwego młodzieńca, któremu o względy swoje starać się pozwoiliła.

— Nie roztkliwiajmy się, Stasiu, — rzekła, usuwając się zrecznie od niego.

— Powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia; teraz należy pożegnać się. Babcia się niecierpliwi i istotnie czas nam jechać... Mam nadzieję zobaczyć cię wkrótce w Krakowie, pogodzonego z nowym obrotem rzeczy zupełnie a nawet zadowolonego. Matka postara się, byś rychło odteknął się za mną. Będziesz miał ciszę, spokój, którego spragniesz, i — kto wie, czy to nie najważniejszy powód, dla którego dom upuszczam. Pieniądze wzięłam wczoraj od Borzyckiego. Na pierwsze wydatki wystarczy; później to, co mi przeznaczysz miesięcznie, możesz posyłać przez Borzyckiego. To najpewniejszy sposób, aby doszły rąk moich.

Teraz dopiero Stanisław przypominał sobie wszystko: Bański, rozmowa z Michałem o smutnym stanie interessów, pieniądze zabrane przez Lilię a przeznaczone dla zażegnania burzy, która pod postacią komorników, aresztów i licytacji zbierała się nad Kamieńcami.

Wszak miał przemówić do rozsądku i serca Lili, miał prosić, aby zwróciła pieniądze i uspokoiła jego obawy. Ale taka była dziś słodka i dobra dla niego, że zapominał o wszystkim, co nią nie było. Musi jednakże zawiadomić ją o tem, co im grozi. Lila to pojmie i projekt wyjazdu upadnie.

Potem — może się pogodzą z matką, babcia Dolewska się udobrucha i...

Rozpromieniony temi myślami, zwrócił się do żony:

— Muszę ci coś powiedzieć, żonusiu, rzekł, ujmując obie jej ręce w uścisk gorący. — Wyjazd twój z wielu względów jest niemożliwy. Pomijając osobiste moje uczucia, mu siesz, kochanie moje, zrobić ofiarę dla przyszłości dzieci naszych. Lili, my już nie należymy do rzędu bogatych; Kamieńce są zadłużone, las prawie zmarnowany... nie oszczędziliśmy nic na czarną godzinę, a ta godzina, niestety, zbliża się szybko. Trudno jest wyciągnąć coś z majątku, którego się nie podnosi; przeciwnie — zabiera mu się wszystkie soki żywotne i — zostawia szkielet. W takiej pozycji są właśnie ukochane nasze Kamieńce, Lileczko, potrzeba-by niesłychanej oszczędności i pracy, by im choć w części dawną przywrócić świetność. Czy ty, kochanie, zastanawiałaś się kiedyś nad tem, ile wydaliśmy od dnia naszego ślubu? Długi pobyt w Paryżu, ciągłe podróże zagranicą, gdzie wszystko potrójnie się płaci — to otchłań, w którą wpadło już wiele nieszczęśliwych istot bez możliwości uratowania, potem choćby najdroższych sercu rodzinnych pamiątek — bez nadziei zdobycia spokojnej przyszłości. My już teraz należymy do liczby tych rozbitków, żoneczko moja: co rychlej ratować nam się potrzeba. Bardzo mi przykro, że muszę zaprzętać twoją śliczną główkę takimi sprawami, ale czuję, że bez twojej pomocy nie dam sobie rady, Lileczko. Musimy wspólnie działać, wspólnie zacząć pracować, aby uratować coś dla dzieci naszych. O Lili! ilem ja noc spędził bezsennie, myśląc o tem; jakie gorzkie czyniłem sobie wyrzuty, że moja miłość dla ciebie kazała mi o wszystkim innym zapomnieć.

Zamilkł rozrzucony, Lila wzruszyła ramionami niechętnie.

— Tyle razy już cię prosiłam, Stasiu, abys mi głowy interessami nie zaprzętał. To do ciebie należy.

— Jestem prawdziwie szczęśliwa, że nie mieszałam się do interessów; przynajmniej za nic nie odpowiadam. Przekonałeś się więc nareszcie, że źle administrowano twoim majątkiem. Smutna to kwestya, zadrażliwa atoli, by ją z tobą roztrząsać można.

— Ależ Lili! Co ty mówisz? Tu nikt nie jest winien oprócz nas obojga. Ja byłem za miękki, zanadto cię kochałem, a ty, dziecię pieszczone, nie pojmowałaś... nie znałaś się na niczem... W tem leżało całe złe i to właśnie spowodowało oplakane skutki. Ach Lili, Lili moja, gdyby to można cofnąć, odrobić; gdyby można być o przeszłość spokojnym.

Zaczął chodzić po pokoju wzbudzony, owładnięty smutnymi przeczuciami.

Lila zaledwie zdolną była ukryć zniecierpliwienie. Już od godziny mogła była wyjechać, gdyby nie rozmowa z mężem, która się przedłużyła w nieskończoność. Spojrzała na zegarek, wiszący u podróżnego paska, i zerwała się z kanapki.

— Jedenasta godzina, Stasiu — rzekła, podchodząc ku niemu. — Czas upływa... pociąg do Krakowa odchodzi o trzeciej...

Patrzyła na męża bardzo milutko i garnęła się ku niemu pieszczotliwie.

— Wszystko jeszcze zmieni się na lepsze, Stasiu — mówi słodko. — Ty lubisz się przejmować byle czem...

Matka, chcąc mi dokuczyć, karmi cię obawami, które z pewnością nie mają żadnej podstawy. Byliśmy przecież bardzo bogaci, a nie wydawaliśmy znowu tak wiele, aby teraz znaleźć się tu wobec ruiny. Cała podstępna gra twojej matki dla mnie zrozumiała jest aż nadto. Nie martw się, mój drogi! Przekonasz się kiedyś, że miałam racya.

— Łudzisz się Lili — odparł, tuląc ją do siebie. — Położenie nasze jest okropne. Co zaś do mej matki, to wszelkie przeciwko niej napaści wybaczam ci dlatego, że pochodzą, nie od ciebie, ale od babci. Daruj, Lileczko, ale pobyt babki w naszym domu był błędem nie do darowania. Nie mówmy już o tem. Muszę nareszcie powiedzieć ci coś, Lili, co mnie dławii poprostu

w gardle... — Spojrzał na nią z gorącą prośbą w oczach.

— Potrzeba mi gwałtownie pieniędzy, zonu-siu — rzekł przyciszonym głosem. — Bański grozi sądami... Byłaby to bardzo przykra ewentualność! Przypuszczałem, że Borzycki ma jeszcze w kassie jakieś kilka tysięcy ze sprzedaży lasu i te przeznaczyłem na tymczasowe zaspokojenie Bańskiego. Tymczasem dowiedziałem się dziś od Michała, że — pani moja pieniądze te wzięła już i — wobec tego nie umiem myśleć ani radzić bez twej pomocy. Jeżeli wstrzymasz się z wyjazdem, będę ci nieskończenie obowiązany.

— Lili moja, teraz już wiesz wszystko... Nie chcę cię niczem kępować; osądz rzecz sama i sama wyrokuj. — Tulił ją do siebie coraz goręcej, całował włosy, czoło, usta... upojony wyznaniem, jakie dziś od niej otrzymał, szczęśliwy, że nie ucieka od jego pieczętów, których tak łaknął.

Lila długą chwilę nie odpowiadała. Potrzebowała namyśleć się, aby nie przegrać stawki. Słuszność nakazywała oddać pieniądze i odroczyć wyjazd. Czuli, że gdyby mąż zechciał, ma pełne prawo żądać tego od niej i ona przed wolą jego ugiąć-by się musiała. Zmieniać czy odkładać projekt wyjazdu, nie leżało jednak w jej polityce. Jakież to było stodkie spojrzenie, które zatrzymała teraz na twarzy męża! Delikatne rączki opłotły mu szyję, do pocałunku wyciągały się usta...

— Ja wiem, że ty masz słuszność, Stasiu — szepnęła tklawie. — Może istotnie — o ile nie przesadza matka i Borzycki — pieniądze są ci obecnie potrzebne. Ale, Stasiu, ja pewną jestem, że dałoby się znaleźć je gdzieś indziej. Babcia i Lorcka gotowe już do wyjazdu, kufry zapakowane... Po tem, co wczoraj zaszło, niepodobna pozostać mi tu dłużej. Niech się matka uspokoi nieco... ja trochę zapomnę...

Dziś, wierząc mi, Stasiu, nie potrafiłbym zasiaść z nią przy jednym stole a babci nie powstrzymałabym również od robienia docinków aczkolwiek słusznych. I cóż-by z tego wynikło? Osądz sam! Dla miłości twojej dużo znieść mogę, ale nie wymagaj za wielkiej ofiary, Stasiu.

Bardzo wymownie patrzyła w oczy mężowi, wiedząc jaką władzę nad nim posiada, i prawie pewna, że zwycięży.

On czuł się już zmęczony rozmową o interesach. Bańskiemu byłby zwrzeczył prawie, że mu takie rozkoszne chwile zaturawa. Lila go kocha — o czem tylokrotnie wątpił — pieścił go tak czule... Całe niebo szczęścia i gorąco pożądaných rozkoszy otwiera się przed nim; czemu je płoszyć widmami przyszłości i spędzać ze ślicznej twarzy Lili ten rajski uśmiech, który mu serce rozgrzewa? Pomówi z matką, zawezwie Kwapiewicza i Borzyckiego: niepodobna — aby po wspólnej naradzie coś nie obmyślili. Pieniądze dla Bańskiego muszą się znaleźć. Lila ma poniekąd rację. Domowe kwasy z odjazdem jej i babki skończą się... On pracować będzie nad matką, aby Lile sądziła mniej surowo; Lila, taka dobra i słodka teraz skłonniejszą będzie również do ustępstw. Z uśmiechem rozradowania zwrócił się do żony.

— Przyjadę wkrótce odwiedzić cię w Krakowie, Lili — rzekł, pieczęcąc ją. — Niech się stanie jak postanowiłaś. Nie mam siły, jak i nie miałem nigdy odmówić ci czegokolwiek. Byłem mi była zdrową i wesolą, niczego więcej nie pragnę. Jedź więc, ukochana! Będę bardzo tęsknił, ale rozgrzałaś mi serce swoją miłością, wlałaś zapas energii i radbym prawie do walki z olbrzymami wystąpić... Pewny z góry zwycięstwa... — dodał z uśmiechem, dawno niewidzianego na twarzy jego wesela.

Uściskał żonę, Lila ledwo ukryć tryumf swój zdołała.

— Tylko przyjeżdżaj, Stasiu, — prosi męża czule. — I my tęsknić będziemy.

Lorcka, cała w rumieńcach, z błyszczącymi oczyma, zajrzała do pokoju.

— Babunia mówi, że nie zdążymy na pociąg, mam — rzekła. — Czy mogę wejść? Chciałabym pożegnać ojezulka...

— Pójdź-że, pójdź, mała sroczko, — zażartował ojciec — więc tak ci śpieszno opuścić nas wszyst-

kich? Jesteś małe „nie dobrego“ — Wandzia i Muszka desperują pewno na myśl o rozłączeniu, a tobie aż się oczęta śmieją...

— Doprawdy, że nie, ojezulku — broniła się Lora, ukrywając śmiejące się oblicze na piersiach ojca, — I mnie przykro..., ale mama mówi, że Kraków jest bardzo ładny a ciocia Hala opowiadała nam tyle o pamiątkach i okolicach Krakowa. Będę się uczyła zresztą i ojezuś mię nie pozna, gdy przyjedzie.

Ucałowała ojca serdecznie a w pół godziny potem śmiejąca jej twarzyczka wychylała się z okna karety i zafawione oczęta ostatniem spojrzeniem żegnały zebraną na ganku rodzinę.

Babcia Dolewska zrobiła jej nawet kilka sarkastycznych uwag z tego powodu, a Lila, zasunięta w głąb karety, przypominała sobie ranne spotkanie z Michałem i ostatnie, głęboko smutne i beznadziejne spojrzenie, jakim ją pożegnał.

XII.

Rozpaczny krzyk Haliny rozległ się po całym domu. Usłyszała go służba, usłyszała leżąca w swoim buduarze wśród kwiatów i flakonów z solami eterycznymi pani Klotylda.

— Cóż się tam stało? — mruknęła niechętnie. — Halina ma szczególną zdolność drażnienia moich nerwów.

— Pewno który z dzieciaków na wsi poparzył sobie palec...

Zabrała się znów do czytania, upatrując w bohaterce powieściowej dużo podobieństwa do siebie.

— Niema jak Bourget — szepnęła. — Jaka przedziwna psychologja kobiecego serca...

Krzyk się powtórzył. Były w nim ostre, dzikie jakieś dźwięki, które uderzyły delikatne uszy pani Klotyldy.

Poblądła twarz kamerdynera ukazała się we drzwiach.

— Proszę, Jaśnie pani — szepnął drżącymi ustami...

Nie pozwoliła mu dokończyć, zniecierpliwiona i gniewna, że jej przerywają spokój.

— Co się tam stało? — pyta, nie podnosząc oczu od książki. — Co to za krzyk?

— Jaśnie pan zasłabł — wykrztusił służący. — Paniuszka prosi jaśnie pania do pana...

Pani Klotylda podniosła się żywcem. Zapomniała nawet o trzeźwiących solach i poszła do pokoju męża. Cała służba pałacowa cisnęła się do pokojów pana, blada, wylekła.

Trwoga opanowała serce dumnej i chłodnej pani.

— Mój Boże, co tu się stało? — szepnęła drżąc. — Gdzie jest pan? Gdzie mój mąż?...

Nikt jej nie odpowiedział.

Naraz oczy jej uderzył widok okropny.

Przez drzwi w pół otwarte zobaczyła leżącego na ziemi męża z głową o piersi Haliny opartą. Oczy miał otwarte, ale utkwione w punkt jeden, osłupiałe, bezmyślne.

Wszyscy potracili głowy, rozpacz Haliny grani-czyła z szaleństwem. Uplętnęło sporo czasu zanim nieszczęśliwego ułożono na łóżku i posłano po lekarza.

Przewidywania doktora Olskiego sprawdzili się. Paraliż obezwładnił wszystkie członki chorego. Halina przyniosła właśnie ojcu filiżankę bulionu, jak to codziennie czynić zwykła, i zastała go leżącego na dywanie bezwładnie.

I wtedy to z piersi jej wyrwał się ów krzyk przeraźliwy, który wstrząsnął nerwami pani Klotyldy. Gdy d-r Olski w parę godzin potem wszedł do sypialni Bielowskiego, nie wiedział prawie kogo wpierw ratować.

Pani Klotylda może pierwszy raz w życiu naprawdę zemdląca, a na rozpacz Haliny niepodobna było patrzeć.

Jeden rzut oka na chorego był dla niego dostatecznym niemal, by osądzić, że życiu niebezpieczeństwo nie grozi, ale lata, całe lata jeszcze choroby spędzić może przykutym do łóżka, bez świadomości o tem, co się z nim dzieje.

A czyż życie takie dla niego samego, i dla otaczających, nie będzie stokroć boleśniej-
szem?

Doktor stłumił ciężkie westchnienie i zabrał się do ratunku. Nie dowierzał sam sobie. Zatelegrafował do Warszawy i Krakowa po lekarzy, nie było jednak środka w medycynie, któryby przywrócić mógł zdrowie. I mijaly nieskończone dla czuwających dnie i noce, mijaly miesiące, a nieszczęśliwy Bielowski leżał bez ruchu z osłupiałymi źrenicami, więcej do trupa, aniżeli do istoty żyjącej podobny.

Halina, cień Haliny raczej, nie odstępowała ojca. Prosił dr Olski, błagała Kamieniecka i Lucyan, aby się oszczędzała — napróżno!

Po co i dla kogo ma się oszczędzać?

Tyle sił, ile dla ojezulka potrzeba będzie, wystarczy jej... A później? Cóż zostaje dla niej?... Rozgoryczona, ogłuszona niemal ciosem który w nią tak niespodziewanie uderzył, Halina uciekała od ludzi, bała się ich współczucia i ta zmiana właśnie w istocie tak łagodnej i szlachetnej, budziła poważne obawy.

— Czy widzisz: co się stało z panną Haliną, Stachu? — powtarzał wciąż zrozpaczony Rolski, ilekroć zeszedł się ze Stanisławem. — Nie mogę patrzeć na nią bez trwogi. Ona dobrowolnie się zabija. Taka słodka, uległa istota zmienia się nie do poznania. Nie chce przyjąć mej pomocy, nie pozwala pocieszyć się słowem życzliwej perswazyi... Głowę tracę co mam robić, jak z nią postępować! Czybyś ty nie mógł, Stasiu, wpłynąć na nią, uspokoić, wyperswadować?

Stanisław też bardzo smutny i nieszczęściem krewnych zgnębiony, wzruszał ramionami.

— Są istoty, które same w sobie ból przetrwać muszą — rzekł posepnie. — O, są takie! Nie należy dotykać ich rany słowem perswazyi, nie należy okazywać współczucia, które bunt jedynie w zasklepionych boleścią sercach wywołuje. Dla młodych sił tej biedaczki, która już wiele cierpiała, cios ostatni był okropnym. Bądźmy cierpliwi. Czas złagodzi pierwszą gwałtowną rozpacz, Halina pozna sama, że ta rozpacz właśnie jest uczuciem samolubnym i — pocziwie jej serce zwróci się do tych, którzy także cierpią, zwróci się do matki, co jest koniecznym nawet, bo biedna kobieta, czy wyrzutami sumienia, czy istotnym bólem znekana, jest prawdziwie chorą i troskliwej opieki potrzebuje.

Nie mylił się Stanisław. Cała duma i egoizm pani Klotyldy skruszyły się w walce z nieszczęściem. Godzinami teraz wpatrywała się w nieruchomą postać spoczywającą na łóżku, i szeptała słowa pieczętów, których w ciągu pożywania z mężem tak mu skąpiła. Gdyby on mógł słyszeć ją!... Ach, gdyby mógł! Wszystko cokolwiek dla niej, dla jej rodziny uczynił, snuło jej się w pamięci, jak ciężki wyrzut. Jakże mu się wywdzięczyła za jego dobroć, za te lata spędzone przy jego boku, spokojne i szczęśliwe.

O, jakże często gdy promienie księżyca zaglądały przez okna do pokoju chorego, pieczęcąc bladą jego twarz łagodnym światłem; ona także pochylała się nad nią i dzika rozpacz wstrząsała jej sercem. Wspomnienia mściły się nad nią okrutnie.

Księzyc tak samo świecił wówczas, gdy mąż klęczał u jej nóg we wspinałym parku jej rodziców i zebrał słówka, jednego słówka chociaż, któreby mękę niepewności skróciło. Nie żądał przecież, by gorącą jego miłość wzajemnem odpłaciła uczuciem; chciał tylko, aby dumne, piękne usta ukochanej kobiety rzuciły mu słowo zachęty, obietnicę sympaty jakiejś, któraby ich serca związała. Ale ona w obec niego była jeszcze dumniejszą i zimniejszą, niżeli wobec innych. Upokorzona do głębi świadomością, że on-to właśnie jest tym wybawcą, który pieniędzmi swemi ratuje jej rodzinę od hańby i głodu, nie obiecywać nie chciała.

A ileż razy, za tę materyalną wyższość mściła się nad mężem zjadliwą ironią! Stworzyła sobie odrębną sferę, w którym żyła, o ile mogła, najdalej od męża i córki, otoczona wyrefinowanym zbytkiem i wygodami, wyłącznie sobie samej oddana, zawsze skryta, zawsze obojętna.

On z początku próbował znaleźć drogę do tego zamkniętego serca, ale usiłowania jego okazały

się bezowocnymi. Chłód i duma ani na chwilę nie odstępowały pięknej pani, i tak to już zostało, z upływem czasu potęgując się jeszcze.

Halina, oprócz wszystkich przymiotów, jakie przejęła od ojca, wzięła też coś i od matki. Niedługo, gdy dzieckiem była jeszcze, uwielbiała swoją śliczną mateczkę i garnęła się ku niej z pieśczętą. Spostrzegła atoli, że matka objawy jej przywiązania przyjmuje niechętnie a nawet raz odsunęła ją gniewnie od siebie i powiedziała wprost, że tego nie lubi. Dziewczynka głęboko to odczuła i zapamiętała. Całą miłość gorącego serduszka przeniosła na ojca, który jej pieśczęt nie skąpił, i stosunek pomiędzy nią a matką nie wyrównał się już nigdy.

Pani Klotylda nie starała się bynajmniej poznać charakteru córki. Całą zewnętrzną i edukacyjną stronę biorąc na siebie, zostawiła mężowi swobodne pole do rozwijania moralnej, i dobrego ojciec nie omieszkał z tego korzystać.

Hala z upływem lat, obojętniała dla matki więcej jeszcze. Nie żądała już nie dla siebie i tylko dziwnie naprężony i chłodny stosunek między rodzicami, bolała ją, niewypowiedzianie. O! młode jej serce buntowało się niejednokrotnie gdy spostrzegła smutną twarz ojca, lub usłyszała cierpkie kolące słowa. A piękna pani nie szczędziła ich mężowi.

Od choroby Bielowskiego zaszły jednak wielkie zmiany. Pani Klotylda zapomniiała zupełnie o sobie i z całą miłością i troskliwością kochającej żony czuwała przy mężu. Halina prawie z zazdrością patrzyła na to. Nieszczęście wpłynęło dodatnio na usposobienie pani Klotyldy, Halinę wszakże usposobiło inaczej. Bolesć uczyniła ją głuchą na wszystko. Wyraz zaciętego uporu miała w oczach, usta wiecznie milczeniem zwarte. Po za tym pokojem, gdzie leżał jej ojciec, kończył się już świat dla niej. On i tylko on—ukochany jej ojczulek, którego na chwilę odstąpić nie chciała, z bezbrzeżnym smutkiem wypatrując iskierki, błysku pojęcia w jego szklanych, osłupiałych oczach! Cios był okropny i okropne wywołał skutki.

— Czy ona już nigdy nie będzie inną — narzekał Lucyan, który, patrząc na Halinę, tracił sen i apetyt i włożył się jak cień z Chronowa do Bielowie bezustannie.

I Stanisław zaczynał już tracić nadzieję pewnego wieczora, na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia przyjechał do Bielowskich. Haliny nie było w pokoju ojca.

— Już dość dawno wyszła—odparła mu na pytanie p. Klotylda.—Ale skoro jesteście sami...—zawahała się, potem szybko zbliżyła się do Stanisława.—Chcę pana o coś poprosić—rzekła, spuszczaając oczy—Halina jest bardzo zmieniona i cierpiąca; lękam się o nią. Czy... czy pan nie mógłbyś mi dopomóc do zwalenia niechęci Haliny? Masz nad nią wpływ...

Rozpląkała się rzewnie, oglądając się zaraz na łóżko męża, strwożona by łez jej nie zobaczył i nie usłyszał łkania.

— Józef nie lubił, gdy płakała... — dodała, usprawiedliwiając się przed Stanisławem, z takim bolesnym uśmiechem, że aż mu się żal zrobiło. — Zapominam częstokroć, że oczy jego patrząc, nie widzą i uszy nie słyszą tego, co się tu mówi. Czasem, miewam takie złudzenia — zdaje mi się, że i z Haliną jest toż samo—a potem rzeczywistość jest jeszcze okropniejsza.

— Żał mi pani serdecznie—odparł rozrzewniony Stanisław, pochylając się do ucałowania jej ręki, po raz pierwszy odkąd się znali z prawdziwie braterskiem uczuciem. — Boleję i nad panią i nad Haliną i nad tym nieszczęśliwym, którego wspólnie oplakujemy. Halka istotnie budzi obawy, skamieniała w swojej boleści nie zwraca na nie uwagi i zapomina nawet o obowiązkach córki względem pani. Sam to zauważyłem. Jeżeli pani pozwala, pomówię z nią. Może mi się uda, nie-normalny stosunek między paniami nieco naprawić...

Hala ma zupełną słuszność — szepnęła upokorzona p. Klotylda.—Duzo zawiniłam i wiele sobie wyrzucam. Bóg jeden wie jak cierpieć!... Jest to ciężka kara, ale wina była niemniej ciężką...

Rozpląkała się znowu, Stanisław patrzył na nią z podziwieniem i przykrością.

— Uspokój się, pani — rzekł prosząco. — Nie w naszej mocy zmienić co się stało. Samo przeświadczenie o winie jest już pewnym zadosyćuczynieniem. P. Halina musi zrozumieć, że serce jej powinno być przy pani. Mam nadzieję, że tę milczącą bolesć zmiękczą łzy, których od tyłu miesięcy nie widziałem w oczach Haliny. Trzeba je tylko wywołać.

— Nie płakała od tego dnia—rzekła Bielowska—kiedy...

Brakowało jej siły: aby dokończyć. Stanisław przerwał jej szybko.

— Wiem, wiem—rzekł.—Po gwałtownych ciosach, które taką suchą bolesć wywołują, musi jednak nastąpić reakcja. Tak i tu będzie. Niech się pani uspokoi. Pójdę poszukać p. Haliny.

Wyszedł i, błądząc po pokojach, w bibliotece nareszcie znalazł Halinę. Siedziała przy kominku, zapatrzona w ogień, wsłuchana w wycie wichru, który na dworze jęczał, bardzo smutna i tak wychudzona, że Stanisławowi łzy zakręciły się w oczach.

Zupełne oderwanie się od czynnego ruchliwego życia, brak wszelkich rozrywek, któreby myśli skierowały ku czemuś jaśniejszemu zdenerwowały ją ostatecznie. Widać to było po zmęczonych oczach, leniwych ruchach pobladłej twarzy, na której nigdy uśmiech nie zagościł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Sezon ogródkowy. — Teatryki.—Teatr Nowy.—Szttygar. — Otwarcie Teatru Wielkiego. — Nasi artyści włoscy.—Pan Różański. — Elementarz muzyczny pani Wickiewiczowej.

Opera używała dobrze zasłużonych wakacyj; koncertanci, którzy i w zimie Warszawę omijają, tembardziej są niewidzialni w letnim sezonie; kto może i nie może, na wieś umyka, aby świeżym powietrzem odetchnąć i o wszelkiej muzyce, dobrej i nie dobrej, zapomnieć. Nie więc dziwnego, że czytelnicy nasze i czytelników musieliśmy przez dłuższy czas pozbawić muzycznej kroniki. Teraz więc w jedną wiązanąkę połączymy nieliczne wrażenia wakacyjne, oraz pierwsze chwile nowo otwierającego się teatralnego sezonu.

Teatr Mały czy Nowy, który nie tylko nie używa wakacji, ale jeszcze w lecie dźwiga na sobie ciężar zwiększonej pracy, wystawił przez ten czas „Szttygara“ (der Ober-Steiger) operetę Zellera, i znalazł w niej nową kopalnię rzetelnego powodzenia. Zabawny to jest kompozytor, ten Zeller. Muzyk wyborny, i to znać w opracowaniu. Ale największą tajemnicę jego popularności stanowią temata wdzięczne i śpiewne, którym można by stawiać ten dziwny (?) zarzut, że nie zawsze są oryginalne. Dlaczego dziwny? Jeżeli podobieństwo jednego lub półtora taktu jest plagiatem, tedy wielu z tych tematów zarzut ten czynić można; pomimo jednych tych początków, częstokroć przypominających to i owo, tok tej melodii jest samodzielnym, z natchnienia płynącym, i dlatego ta ich naturalna śpiewność chwytła za serce. Najlepszym dowodem sympatycznej żywotności tej muzyki jest ta okoliczność, że dała już teatrowi trzydzieści kilka przedstawień wybornie zapelnionych, że przeciętny ogół się bawi doskonale, zaś i wybredniejszy smakosz muzyczny, zaszedłszy tam od czasu do czasu, ulega urokowi milej i bezpretensjonalnej muzyki, oraz całości, podniesionej jeszcze przez wykonanie. Przysłowiowa staranność reżyserji i personelu i tym razem nie zawiodła—całość od pierwszego już przedstawienia odznaczała się jednolitością i świadczyła o wyczerpującym wystudowaniu. Oprócz tego i role pojedyncze dają artystom teatru pole do

wyzyskania swych uzdolnień. Pod względem samej roli, kto wie, czy nie na pierwszym planie wypadnie postawić rolę tytułową, obfitującą w śpiewne momenta. W roli tej zadokumentował wybitny postęp młody tenorzysta pan Proniewicz, który jako uczeń profesora Horbowskiego zaangażowanym został do teatru przed dwoma laty. Śliczny materyał wokalny artysty rozwija się dobrze — gra staje się śmielszą, i dykeja zyskuje stopniowo na jasności i wyrazistości. Publiczność pana Proniewicza lubi i ceni, i dziś bez niego już-by nie rozumiała trzeciej sceny, tembardziej, że jej ulubieniec, pan Misiewicz, coraz częściej przerzuca się do ról charakterystyczno-komicznych, które odwarza z rzadkim humorem i werwą. I w „Szttygarze“ p. Misiewicz śpiewa z powodzeniem rolę księcia, właściciela kopalni. Na czele całego personelu teatru Nowego, stoi diva — pani Czosnowska, której głos dzwiczny i dobrze wyrobiony, oraz gra wyborna oddawna są według swej zasługi oceniane. Śpiewaczka ta jest filarem i ozdobą małej sceny. Nie głosem, ale wyższą komiką pobudza do śmiechu p. Morozowicz, który bez szarży, z obojętną jakąś nieledwie naturalnością, umie grać na nerwach widzów. Małżonką jego, pełną erotycznych spójniowanych uniesień, była najprzód z mniejszym powodzeniem występująca pani Puchniewska; odtąd powierzono tę rolę pannie Manowskiej, która się z niej wywiązuje doskonale, tworząc typ podobny w części do Katicy z Mikado, komiczny, a nie przeszarżowany. Pani Święcka również dobrze wywiązuje się z roli Nelly, a niekiedy, w zastępstwie p. Czosnowskiej, z głównej roli brabianki. Treść operety, z konieczności trochę złagodzona w tłumaczeniu — nie zajmując widza zbyt żywo; tem większa zasługa muzyki, która w śpiewnych ustępach solowych (przeważnie walcach) oraz w dobrze opracowanych finałach zawiera pewne bogactwo materyału, nie wyczerpujące się łatwo. Tak rzadka jest teraz inwencja, że nawet taka nie zupełnie czysta oryginalność jak Zellera, przy talencie obrobenia, i pewnej szczerości w toku melodii, może mieć swój urok.

Oprócz tej wakacyjnej nowości, mało mamy do zanotowania w kronice ubiegłych dwu miesięcy. Z małych ogródkowych teatrów, największą żywością pod względem muzycznym odznaczył się teatr Belle-vue, gdzie dawano z powodzeniem operetę Czubki: „Noc we Florencji“, oraz dwie sztuki ludowe z muzyką Noskowskiego. Sprawy o ich wartości dramatycznej znajdują czytelnicy we właściwej rubryce — ja się ograniczę do skromnych słów kilku, ilustrujących wymownie niewielką rolę, jaką tu i tam przeznaczono muzyce. Tak „Przeklęty dorobek“ Kosia-kiewicza, jak „Na chlebie u dzieci“ Junoszy zillustrowane są zaledwie kilku numerami, z których w pierwszej sztuce wyborna piosnkę dziadowską, w drugiej charakterystyczną, piosnkę żydowską, w obu zaś taneczne motywy podnieść wypada. Bardzo udatnym również numerem w sztuce Junoszy jest śpiewne intermezzo pomiędzy dwiema odsłonami V-go aktu, objaśniające nas o stanie duszy wiejskiego króla Leara, Wincentego Pypcia. Ładny ten ustęp zwykle bywa bisowany.

Teatr Wielki otworzył swe podwoje w Niedzielę dnia 2-go Września, operą „Mignon“ Thomas'a. Pozналиśmy w niej dwoje nowych śpiewaków: panią Inez de Salvador w roli tytułowej, oraz p. Ludwika Iribarne w roli Wilhelma. Śpiewaczka sympatycznie sprawia wrażenie: głos ma przyjemny i dzwiczny, choć nie imponujący siłą, ale chlubiący się dobrą szkołą i grą staranną i inteligentną. W traktowaniu romansu z pierwszego aktu o jeden tylko szczegół mogliśmy się z artystką posprzezać, a mianowicie o powtórzenie drugi raz końcowego frazesu które było zanadto zdramatyzowane; lubo gdyby dyrektor ze swoją pałeczką był za tem accelerando także pośpieszył, wrażenie z pewnością byłoby lepsze. W akcie drugim artystka i trochę koloraturki zaprezentowała — słowem, wykazała wiele dodatnich warunków, niesprawiedliwiających jej zaproszenie. Mniej nam się wydało koniecznym zaangażowanie tenora, który

wprawdzie śpiewa nieźle, ale w niczem nie wyróżnia się od p. Morlacchiego, który przecież także został zaangażowany. Wyborną Filingą jak zwykle, była pani Dowiakowska, która jest aniołem ratunku dla dyrekcyi w razie czyjejkolwiek niedyspozycy, a tego wieczora w szczególnie dobrym była usposobieniu i przy głosie. Pani Lewicka dobrze bardzo wywiązała się z partyi Fryderyka. Nazajutrz dawano Halke, oczywiście z panią Konarską, której za każdym posłyszeniem, zwłaszcza w tej partyi, nowe trzeba oddawać pochwały. Jest w tej roli, pewność wokalna, a obok tego prawdziwe uczucie i poezya przemawiająca do duszy — Jontkiem był p. Rożański, występujący na naszej scenie raz pierwszy. Rola niedługa, a jednak dość ważna i trudna, przedstawia dla debiutanta, przy nieuniknionej emocyi, warunki trudne. W wykonaniu były szczegóły dobre, nuty wysokie ładne, ale medjum nie odznaczało się jednolitością, posiadając niektóre dźwięki wydobyte zbyt jaskrawo — gra sceniczna i w ogóle praca nad rolą nie dały rezultatów bardzo bogatych. Więc, jak na teraz, wolimy czekać nowych występów, aby zdanie o artyście dokładnie sformułować.

Moglibyśmy na tem zakończyć niniejszą kronikę, gdyby nie ciążył na nas przyjemny obowiązek zdania sprawy z jednej pracy kobiecej w zakresie muzyki, a tą jest „Elementarz Muzyczny“ wydany świeżo przez panią Maryę Witkiewiczową. W całym układzie „Elementarza“ znać wielkie obeznanie z pedagogiką, znać systemat teoretycznie dobrze wyrobiony i stwierdzony przez praktykę. Oczywiście główną trudnością „szkoły“ jest konieczność podania pewnych ogólnych podstaw co do porządku ćwiczeń. Ten porządek wystarcza dla nauczycieli i nauczycielek niewprawnych, które zamiast tworzyć sobie plan własny, mają tu wytknięte pewne stałe wzory postępowania. Jednakże przy nauce, uwzględniającej bardziej indywidualność uczni, niepodobna stosować tego samego porządku i systemu dla różnych rąk i usposobień. Szczególniej niepraktycznym dla wielu indywidualności okazała się na początku wprawy z trzymaniem palcami, zwłaszcza tam, gdzie w tych warunkach palce 4-ty i 5-ty mają się samodzielnie podnosić; tu nieraz chcąc dobrze ułożyć i wprawić rękę, trzeba zmieniać porządek ćwiczeń, lub komponować specjalne, do ręki zastosowane. Wyborną jest idea pomagania nauce za pomocą dyktanda muzycznego, oraz śpiewu. W tym ostatnim celu elementarz zawiera ćwiczenia rytmiczne Studzińskiego do czytania nut głosem, przesłuchanie zharmonizowane przez Żeleńskiego. Suche te garmowe interwale, w tej artystycznej szacie, stają się prawdziwie pięknymi, i nie dziwimy się, że wedle słów pani Witkiewiczowej, jej uczennice niektóre z nich śpiewają „ze wzruszeniem“. Trzeba tę pracę przestudować, aby ocenić jej wysoką wartość. Jest to prawdziwy unikat w swoim rodzaju.

Jan Kleczyński.

List z Anglii

Londyn po zakończeniu sessyji parlamentu wydłunia się zwykle i chwila w której to piszę, jest właśnie takim momentem, dającym hasło szanownym i wielce szanownym jego członkom do rozjeżdżania się na cztery strony kraju, co przecież bywa zawsze poprzedzone biesiadą pożegnalną — obiadem zjedzonym wspólnie, który gromadzi u jednego stołu posłów wszystkich i godzi z konieczności stronictwa. Obiad ten datuje się od czasów Pitta, a wprowadził go w życie jeden z członków parlamentu, sir Robert Preston, który zaprosiwszy raz do siebie na wieś pierwszego ministra, tak go tam ugościł dobrym obiadem i wesółm towarzystwem, że rzecz powtarzała się corocznie po sessyji parlamentu. Że przecież posiadłość Prestona: Dagenham, była dość odległą

od Londynu a drogi żelazne nie skrócały jeszcze ludziom przestrzeni, więc postanowiono zjeżdżać się w Greenwich na wspólną biesiadę, a że Anglia jest krajem tradycy, zwyczaj przetrwał z małemi przerwami do naszego czasu i trwać będzie chyba do chwili, w której istnieć będzie Anglia i jej parlament. Że ministrowie udają się tam zwykle razem na statku państwowym, rzecz przedstawia się uroczyste i zwykle zjeżdżają się w tym czasie do Greenwich tłumy, chcące widzieć to zebranie reprezentantów kraju.

Powiedzieć można, że Anglia jest krainą zjazdów i obrad. Anglik chce przedebatować gruntośnie wszystko co ma czynić i dobrze mu z tem, jak widzimy, zwłaszcza że poważnym jest więc i zjazdy przynoszą krajowi pożytek rzeczysty. Zjazd Stowarzyszenia Brytańskiego (British Association) odbywający się w Oksfordzie trwa dotąd i budzi żywe zajęcie w kraju całym, szczególnie między ludźmi nauki. Ostatnie komunikacye jakich dostarczyły dzienniki zainteresowały szczególnie już wszystkich: człowiek stać się może istotą skrzydlatą, może zatem powiedzieć sobie na podstawie rzeczywistości, iż jest panem świata, bo opanowawszy ziemię i wodę, rozrządzać się może i w przestworach powietrznych. Niejaki John Maxim jest tu wynalazcą; wiadomem było od lat kilku, iż pracuje w tym kierunku, ale tajemnica otaczała ten jego pomysł, że przecież nie pierwsza to jego próba na tem polu, że jest twórcą najdoskonalszej armaty, jaka istniała kiedykolwiek, nie żartowano żeń, aż nareszcie nowożytny Ikar przedstawił uczonemu światu Anglii owoc pracy swojej. Rzecz jest za techniczną aby powtarzać wam wywody, jakie memoryał przedstawia i dość będzie, gdy wam podam rezultat ostatni. Maszyna ta, pierwsza która się wznosi w powietrze samodzielnie, używa nafty jako paliwa a przebiega na godzinę pięćdziesiąt mil (angielskich) szlaków niebieskich. Wynalazca, który jest człowiekiem poważnym i zarazem uczciwym, nie przeczenia korzyści swego wynalazku i objaśnia publicznie, że jak obecnie maszyna nie może jeszcze służyć do pociągów kolei powietrznych, tak pasażerskich jak i towarowych, czego się od niej spodziewano, ale użytkować już ją można do zdejmowania planów, branych z góry, więc w czasach wojny oddawać może usługi wielkie tym, którzy się nią posługiwać zechcą.

Próby wykazały potwierdzające to rezultaty. Lord Rayleigh, człowiek uczony i poważny odbył już nadpowietrzną podróż taką w towarzystwie Maxima, który przecież nie chciał mu odkryć środków, przez jakie doszedł do dzieła, odpowiadając, że rzecz jest dopiero w zawiązku, a zatem rezultaty, jakich się spodziewa będą jeszcze o wiele większe, choć powagi naukowe przyznają już wynalazkowi znaczenie tak wielkie, że stanowić on będzie erę nie tylko w rozwoju wiedzy, ale i rezultatach otrzymanych jak to już potwierdzają zdjęte w powietrzu obrazy manewrów morskich. Dwie eskadry, z których jedną przedstawiała flotę francuzką, druga angielską, walczyły ze sobą a na wielkie niezadowolenie anglików francuzka wzięła tu prym. Że działo się to w obecności cesarza niemieckiego podrażniło to anglików niezmiernie i dzienniki krzyczą na gwałt o reformę w budowie i komendzie statków państwowych.

Ten turniej morski odbywał się między wyspą With a wybrzeżeń hrabstwa Hampshire, żaglowiec, którym dowodził admirał Montagne, wygrał pierwszą nagrodę, drugą otrzymał „Meteor“ pod dowództwem cesarza Wilhelma, a statek „Brytania“ którego dowódcą był książę Walii, musiał usunąć się od konkursu, bo niecierpliwie ruszył z miejscem o kilka minut wcześniej. Tryumfotorem na polu innem został tu lord Reyglach, professor chemii na uniwersytecie oksfordzkim, za odkrycie nowego gazu, władze uniwersytetu powinszowały lordowi tego ważnego dla nauki dzieła, lecz Anglia powinszować tu sobie może czegoś więcej niż odszukanie nowego składnika powietrza, którym oddychamy, a to że magnaci angielscy, synowie rodów historycznych chcą i potrafią przyłożyć się do postępu w nauce swego kraju. I dla tego też że tak poważnie i użytecznie żyć umieją, umieją też i czuć szlachetnie bo jest w człowieku każdym pewna harmonia, przez którą jedna jego siła

oddziaływa na drugą i podnosi go, albo poniża, jak to wykazuje doświadczenie.

Myśl ta nasunęła mi się w obec uroczystości otwarcia nowego mostu na Tamizie, który ze względu na to, iż jest zbudowanym obok starożytnego zabytku historycznego, wieży Londyńskiej, ma dla myśli, dla wyobraźni ludzkiej urok pewien. Tak jest przynajmniej w stosunku do mnie, bo widok takich starych pomników pracy, zachodów człowieka na ziemi, wprawia mnie zawsze w zadumę ile to uczuć, myśli, pragnień człowieka urobiło ten stan zwany cywilizacją nowożytną? Wieża Londyńska, zwana wkrótceści potocznej mowy: wieżą: „Tower“, jakgdyby była jedyną tego rodzaju budową w Londynie, dźwiga kształt swój potężny na wybrzeżu Tamizy, w samym środku Starego Miasta „City“, a wedle legendy ma ona sięgać czasów Juliusza Cezara, ale co najmniej pamięta czasy Wilhelma Zdobywcy. Była niegdyś zamkiem królów, była więzieniem ludzi niespokojnie szarpiących się z życiem — ludzi ambitnych i nieumiejących tak jak dzisiejsze pokolenie liczyć spokojnie lata, wpływające im w bezczynności. Most nowy, zbudowany w stylu epoki, w której Wieża powstała, odpowiadać będzie harmonijnie temu światkowi minionych wieków; plan pierwszy skreślony był w jakie kilkanaście lat temu, kamień węgielny położony został w 1886 r. przez księcia Walii, który też dopełnił obecnie ceremonii otwarcia go, do czego przystąpił mając obok siebie świetny orszak, złożony z arystokracji historycznych rodzin i municypalności miasta, a że municypalność ta nosi w obec wszelkich ceremonii tego rodzaju szaty średniowieczne, efekt był wspaniały.

Trzeba to przyznać Anglikom, że chcą i umieją otoczyć wszelkie uroczystości publiczne pompą wspaniałą, co mieści w sobie pewne uczucie dumy narodowej — dumy dobrej, bo broniącej od zatracenia w sercu jednostki związku z całością swoją. Most budował się bez przerwy lat osiem, a koszt tu wyłożony zdawać się może bajecznym tem, który rzeczy nie widział: 1.170.000 funtów szterlingów. Fundamenta są zapuszczone na 27 stóp długości a 100 szerokości i to tak, że mogą dźwigać bezpiecznie ciężar całej budowy, wynoszącej 70.000 tonów, co na naszą rachubę znaczy nieco więcej niż sto siedemdziesiąt dwa miliony funtów i aż się w głowie kręci, gdy człowiek taką wagę chce sobie przedstawić.

Na tych to fundamentach wzniesiono dwa potężne cylindry stalowe, o których powiedzieć trzeba, że co najmniej nie odznaczają się smakiem estetycznym, ale dla oka ratują rzecz dwie wieżycy w stylu starego gotyku, harmonizującym z Towerem. Jest to przecież dekoracya tylko, jeżeli się tak wyrazić można, bo w stalowym wnętrzu mieści się cała kunsztowna maszyna: łańcuchy, windy i tym podobne przybory, za których pomocą most ten pyszny będzie się mógł związać dowolnie a dodać trzeba, że pod niższym pomostem przepływać mogą okręta, statki parowe a pomost sam służyć będzie dla komunikacyi tak pociągów, jak i tłumów pieszych, bo kto widział tutaj ruch rzesz ludzkich nie może wyrazić się inaczej o przechodniach. Pod niższym pomostem przepływać będą nie tylko statki parowe, ale i wielkie okręta, tylko ruch pieszych bywa wtedy wstrzymany, gdy nadpływają, przechodnie krętami wschodami udają się wtedy na pomost wyższy, albo też niesie ich tam winda, na dole zaś za danym sygnałem naciska się sprzężyna i cały niższy pomost, długi na 200, szeroki na 50 stóp, wagi 2.400 tonów, otwiera się i przepławia, znika, a wspaniała masa wód Tamizy toczy fale swoje, niosąc trzymasztowe żaglowce i wielkie pancerniki, a wszystko to dzieje się jak gdyby na zakęcie czarnoksiężnika.

Kto chce, nie wyjeżdżając po za Londyn daleko odetchnąć świeżem powietrzem, niech się przesiedli na parę miesięcy na wyspę Thanet, gdzie ludzie znudzeni pracą, a często pracowitem tylko próżniactwem wśród ruchu stołecznego, znajdują nie tylko świeże powietrze nadmorskie, ale i spokój odżywiający zmęczony organizm. Przebywa tu corocznie gromadka naszych i uważamy też wysepkę tą za letnią kolonią swoją, bo obok uzdrawiającego, odżywiającego powietrza, jest tu tania

i spokojnie. Półtrzecia godziny drogi statkiem parowym przynosi z Londynu w spokojne ustronie, które dla tego spokoju właśnie ściągają do siebie ludzie przecyconych gwarem i wrażeniami stołecznego ruchu. Przechadzka wieczorna po nad zatoką należy tu do najprzyjemniejszych, a jak twierdzą tutejsi lekarza i do leczących organizm zmęczony wirem życia i jego wrażeniami, bo dodać trzeba, że każdy lekarz londyński powtarza to swemu pacjentowi, którego po za miasto wyprowadza, że ma odpoczywać po wrażeniach...

Tu wrażenia odbierane leczą. Dość wstać rano i znaleźć się po nad morzem o wschodzie słońca, aby ucieszyć sobie oczy widokiem, którego wspaniałej piękności opisać trudno, gdy ognista kula słońca zdaje się wynurzać z fal, poprzedzona łuną różową, a morze staje się wtedy jakgdyby jakimś kobiercem cudownym, przetykanym wszystkimi barwami tęczy. Natura moja jest przeciwieństwem uparta; pierwszych dni pobytu na tej ślicznej wysepce zachwycałem się tym widokiem niemal czarodziejskim.

August.

Z bieżącej chwili.

— Piszą z Petersburga, iż minister rolnictwa wyjechał na objazd, mający na celu dokładne poznanie potrzeb gospodarstwa na Kaukazie. W projekcie tej podróży mieści się cel zbadania potrzeb rolniczych Kaukazu, oraz zwiedzenie miejscowych wód mineralnych i pobrzeży morza Czarnego, zapoznania się z kolonizacją czarnomorską. Następnie podróż przedłuży się do zwiedzenia kraju zakaukaskiego, zakładów naftowych i obejrzenia kraju turkестаńskiego.

— Przy komitecie naukowym ministerium rolnictwa zorganizowanem zostało biuro etnologiczne, Biuro mieć będzie głównie na uwadze potrzeby rolnictwa. Ministerium zwróciło zarazem uwagę na słaby rozwój w Rosyi ubezpieczeń od gradobicia i przystąpiło do poznania stanu rzeczy za granicą.

— Wojskowa komenda balonowa w Petersburgu czyni często wycieczki; ostatnia z pośród nich o mało co nie zakończyła się katastrofą, gdyż wiatr poniósł balon na jezioro Ładogę, które można nazwać morzem wewnętrznym, wielce burliwym. Aeronauci nie tracili nadziei, że zdołają przelecieć po nad tym wielkim wód obszarem, gdy nagle balon począł opadać i w odległości piętnastu wiorst od lądu znaleźli się tuż po nad wodą. Wzywając pomocy, bo na jeziorze ruch jest ciągły, powiewali flagą i starali się tak balon obniżyć, aby włókł się po wodzie do chwili, gdy zjawi się pomoc. Ale to nie pomagało; parowiec „Neva“ ominął ich nie zważając na sygnały i pomoc dał im dopiero drugi, zabierając na swój pokład.

— Komitet budowy posągów dla foyer Wielkiego teatru oglądał wykończony już posąg Żółko-

wskiego, wykuty z marmuru przez Woydygę. Posąg ten zadawalniający przez wyborne odtworzenie rysów oblicza znakomitego komika, ustawiony będzie w przyszłym tygodniu na miejscu przeznaczonym.

— Na grobie ś. p. Jana Tatarkiewicza poświęcono pomnik przedstawiający obelisk kamienny, na którego ścianie frontowej mieści się portret: profil z brązu w medalionie. Tak medalion jak pomnik są dziełem rzeźbiarza Prószyńskiego, który wykonał to bezinteresownie. Grób mieści się obok mogiły Królikowskiego,

— Popiersie Bakałowiczowej wykute z marmuru przez Rygiera a znajdujące się już od lat wielu na wystawie Warsz. Tow. Zachęty sztuk pięknych, ma być umieszczone w foyer Wielkiego Teatru.

— Wystawa wyrobów metalowych, zapowiedziana na rok przyszły z trwaniem dwumiesięcznym od d. 15 Maja do 15 Lipca, dzielić się będzie na działów dziesięć. Dział pierwszy obejmie wyroby z żelaza, miedzi, cyny; dział drugi wyroby z brązu i odlewy z różnych aliażów; dział trzeci wyroby ze złota, srebra, platyny; dział czwarty instrumenta i przyrządy matematyczne, geodazyjne, optyczne, chirurgiczne; dział piąty aparaty i przyrządy elektryczne i galwanoplastyczne; dział szósty instrumenta muzyczne dęte; dział siódmy zabawki dziecinne z metalów wszelkiego rodzaju; dział ósmy wyciepdy, maszyny do szycia i przedmioty tym podobne; dział dziewiąty narzędzia i przyrządy dla straży ogniowej; dział dziesiąty motory parowe, gazowe, naftowe, hydrauliczne i dynamoelektryczne o sile nie większej nad pięć koni parowych, oraz maszyny i narzędzia pomocnicze dla rzemiosł. Jako dodatek wystawa obejmie modele, rysunki i projekta maszyn i wyrobów z metali. Do konkursu kwalifikują się jedynie okazy krajowe. Deklaracje na przyjęcie udziału w wystawie mają być nadesłane do kancelaryi Muzeum przemysłu i rolnictwa najpóźniej do 15 Stycznia r. p.; okazy powinny się znaleźć na placu wystawy w terminie od 1 do 15 Maja r. p. Po wzory deklaracji należy się zgłaszać do kancelaryi Muzeum (Krakowskie - Przedmieście Nr 66).

— W Muzeum pszczolniczym odbyły się egzamina z pszczolnictwa, ogrodnictwa i jedwabnictwa, w których to przedmiotach kształciło się na kursach praktycznych 45 osób a w tej liczbie 18 pań i 12 panów otrzymało świadectwa odpowiedniego uzdolnienia. Pozostała liczba osób bądź nie przystępowała do egzaminów, bądź też pozostała na kursach następnego roku. Kursy rozpoczynają się w Listopadzie, zapisy przyjmują się od początku Października.

— W Teatrze Nowym odbywają się próby opery komicznej czeskiego kompozytora, Fr. Smetany „Sprzedana naręczona.“ Pierwszy to pono u nas utwór sceniczny, zapożyczony od pobratymczego narodu.

— Teatr Krakowski rozpoczął sezon z d. 1-ym Września. Dyrekcyja zapowiedziała wystawienie nowych sztuk: Zalewskiego, Mańkowskiego, Przybylskiego, Bałuckiego, Gawalewicz, Jeske-Chońskiego, Zglińskiego, Faleńskiego, oraz trzy sztuki tłumaczone. Cały dotychczasowy personel pozostał, obok tego zakontraktowano p.p. Siemaszków, Romana; pracę reżyserską rozdzieleno mię-

dzy dyrektora Pawlikowskiego, Józefa Kotarbińskiego i A. Lubicza; przybył tu p. Michał Chodźko, niegdyś reżyser paryzkiego teatru Odeonu i zarazem artysta Opery.

Do wyścigu dystansowego z Krakowa do Lwowa zgłosiło się 21 cyklistów. Nagrody ustanowione przedstawiają: dla pięciu pierwszych zwycięzców medale złote, oprócz tego dodane będą dwa honorowe. Pierwszy z tryumfatorów otrzyma złoty chronometr z herbem i cyfrą protektora krakowskiego klubu cyklistów, drugi kasetkę z przyborami do podróży, oprawionemi w srebro z monogramem klubu cyklistów, trzeci złotą papierosnicę, czwarty złoty serwis do koniaku, piąty laskę ze złotą rączką. Przybywający do mety w ciągu dwudziestu pięciu godzin, otrzymują medale srebrne. Przeznaczona na te nagrody suma przedstawia 1.500 koron. Obok tego każdy z biorących tu udział, otrzyma książeczkę z mapami drogi, legitymacją i kuponami, które oddawać będzie kommissyom kontrolującym w Bochni, Tarnowie, Dębicy, Rzeszowie, Jarosławiu, Przemysłu i Gródki.

— W Szezawnicy przebywało leczących się przeszło dwa tysiące osób, a obok tego pięćset bawiących tu dla odpoczynku letniego. Nie dalej jak za miesiąc piękna ta miejscowość wyludni się, Pieniny okryją się następnie śniegiem i sanki sunąć się będą po ścietym lodami Dunajcu, co razem wytworzy niewypowiedzianie malowniczy krajobraz górski. Letnicy zostawili tu pamiątkę, loterya urządzonej na cele zebrania funduszu na kościół miejscowy przyniosła 828 zł. reń., koncert Barcewicz na gimnazyum cieszyńskie 120 zł. reń. Obok tego koncert amatorski na miejscową straż ochotniczą dał 130 zł. reń., bal na dom akademicki 125 zł. reń. U wód zagranicznych nie bywa takich wydatków na cele dobra ogólnego, ale wydaje się tu więcej i to w ręce cudzoziemców, więc grosz ten już przepada dla majątku ogólnego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się powieść p. t. **Mamona**, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 6.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Marya Rotwand, przez M. I. (z portretem).—Praca kobiety, przez M. I.—Pogawędka, przez ??.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.—List z Anglii, przez Augusta.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 6-ty.—Przegląd mód.—32 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.